

stoi lipa, lipuleczka

PIEŚNI MAZURSKIE

*przez*

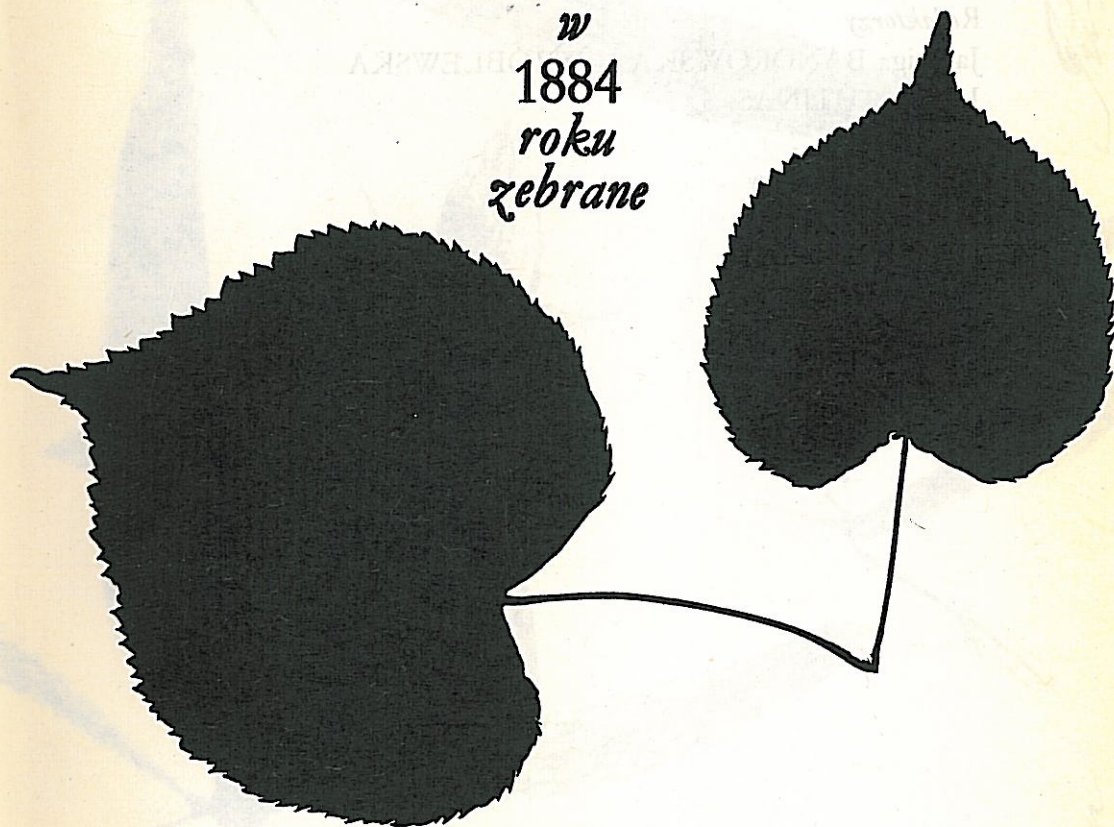
JÓZEFA GĄSIOROWSKIEGO

*w*

1884

*roku*

*zebrane*



LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA



Zofia Szmydtowa

## JÓZEF GAŚIOROWSKI

*Wspomnienia o moim ojcu*



Ojciec mój wywodził się z rodziny polskiej wyznania ewangelicko-reformowanego. Jego przodkowie pochodzili ze Śląska. Pradziadek ojca ożenił się z Czeszką i stąd nastąpiło zbliżenie do braci czeskich. Kiedy gmina braci dokonała aktu kupna Zelowa w powiecie łaskim, w grudniu 1802 roku i zorganizowała na zakupionym terenie osadę tkacko-rolniczą, znalazł się wśród zelowian dziadek ojca. Poślubił on Czeszkę, podobnie jak po latach jego syn Józef, który ożenił się z Elżbietą Hajkovą. Byli to rodzice mego ojca, urodzonego 19 września 1853 roku. Oboje spędzili całe swe pracowite życie w Zelowie. On, powszechnie szanowany i ceniony, przez kilkanaście lat pełnił obowiązki wójta z wyboru, pracował na poczcie i umiejętnie zarządzał własną posiadłością. Ona, ciesząca się także uznaniem gminy, czuła się mocno związana z dawną emigracją czeską, która opuściła kraj z powodu prześladowań religijnych. Nie rozstawała się ze swą wyprawą Biblią nawiązującą do Husa. Kult tego wielkiego patrioty i reformatora zaszczerpiła w sercach dzieci i wnuków. W domu jej córki wisiły w pokoju gościnnym dwa obrazy. Pierwszy przedstawiał scenę sądu nad Husem na soborze w Konstancji, drugi ukazywał Husa wśród kłębow dymu, w chwili gdy wzniesiony nad nim Chrystus składa na jego czole pocałunek.

Miłość do Czech łączyła babka najswobodniej z miłością do Polski. Nieraz opowiadała przyciszonym głosem, jak żywiła

i ukrywała powstańców 1863 r. Uważała to za rzecz prostą i naturalną. Dziadka nie znałam. Umarł, gdy miałam dwa lata. Wiem jednak od matki, że pamiętał o swym polskim pochodzeniu w linii męskiej, że ładnie mówił po polsku i że pisał listy do syna i synowej piękną polszczyzną. Obchodziły go żywo losy obu narodów. Może dlatego władał równie dobrze językiem czeskim jak i polskim. Opiekując się gorliwie gminą, czuł się z nią mocno związany wspólnotą wyznaniową. Nie był wprawdzie fanatykiem, ale dążył do ugruntowania w swej rodzinie żywego poczucia tej wspólnoty. W domu panował ład, podtrzymywany wzajemną pomocą. Było w nim miejsce na pracę i na zabawę. Dziadek dbał o wykształcenie synów. A że miał wpływ na wybór nauczyciela szkoły początkowej w Zelowie, poziom jej nie był najgorszy. Przy pewnym uzupełnieniu uzyskanej w niej wiedzy można było dostać się do gimnazjum. Toteż ojciec mój po pomyślnym egzaminie wstępnym został uczniem gimnazjalnym w Piotrkowie Trybunalskim.

Nastąpiło przejście z osady do miasta, zbliżenie do jego stałych mieszkańców, a także do rówieśników z bliższych i dalszych osad i majątków ziemskich. Rozszerzył się krąg obserwacji i doświadczeń. Pociągała ojca nauka języków, geografia, później także historia, szczególnie starożytna, i poezja, zwłaszcza śpiewana. Dziadek nie narzucał kierunku dalszej nauki i ojciec mój mając siedemnaście lat udał się na studia uniwersyteckie do Warszawy. Zapisał się na wydział historyczno-filologiczny. Był wtedy w Warszawie jego stryj, Wilhelm, późniejszy prezes konsystorza ewangelicko-reformowanego. Dowodził on ojcu na podstawie herbarzy, że Gąsiorowscy byli szlachtą protestancką, że pieczętowali się herbem Ślepowron, a dopiero kiedy zubożeli, przestali go używać. Ożeniony z Polką stryj Wilhelm ani z żoną, ani z dziećmi nigdy nie mówił po czesku. Nie osłabiało to bynajmniej zażyłości i serdeczności rodzinnej. Prezes konsystorza stał się po latach głową całego rodu. Górujące poczucie polskości nie wpłynęło jednak na rozluźnienie ani więzi rodzinnej, ani wyznaniowej. Czesi wchodzący do domu prezesa jako mężowie jego bratanic czuli się tam jak u siebie.

Po ukończeniu uniwersytetu z tytułem kandydata filozofii ojciec mój zamierzał osiedlić się w Warszawie i starał się o lekcje historii i geografii na pensjach żeńskich, ale właścicielki tych szkół obawiały się zaangażować kalwina. Wówczas brat ojca, Ludwik, mający wkrótce otrzymać dyplom inżyniera-górnika w Petersburgu, ściągnął ojca do siebie, namawiając do przyjęcia stanowiska nauczyciela w warunkach umożliwiających pracę naukową. Przez kilka lat ojciec był więc nauczycielem historii i geografii w szkołach rosyjskich. W 1882 r. został kustoszem w Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu. Miał wówczas opanowane wszystkie niemal języki słowiańskie, a także gwary

polskie. Jako bibliotekarz pomagał badaczom polskim w ich poszukiwaniach źródłowych. Szczególnie był mu wdzięczny wybitny nasz historyk, Tadeusz Korzon, za umożliwienie dostępu do ważnych dokumentów, których się znaleźć nie spodziewał. Kiedy zaś w 1882 r. Włodzimierz Spasowicz z Erazmem Piltzem założyli tygodnik polski „Kraj”, ojciec został wkrótce jego stałym współpracownikiem.

Nie ograniczał się do środowiska polskiego w Petersburgu. Żywo reagował na wszystkie ważniejsze publikacje dotyczące Polski, gdziekolwiek się pojawiły. Wielkie wrażenie wywarła na ojcu książka Wojciecha Kętrzyńskiego *O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich*, wydana we Lwowie w 1882 r. Kętrzyński pochodził z Warmii, do osiemnastego roku życia uważał się, jako syn Niemki, za Niemca. Potem nastąpił gwałtowny przełom: poczuł się Polakiem, wziął udział w powstaniu styczniowym, był więziony, a po odzyskaniu wolności poświęcił się badaniom nad średniowieczem polskim, z wielką starannością wydając najdawniejsze jego zabytki. Ojciec nawiązał z nim korespondencję. A oto fragment listu ojca dotyczący nazw wsi i osad zamieszkałych przez ludność polską w okolicach Królewca:

„Żywiołowi rodzinnemu grozi tam największe niebezpieczeństwo i bodaj fala niemiecka niebawem go pochłonie. Chciałbym więc, nim to nastąpi, zjechać na miejsce i zachować od zagłady przynajmniej utwory ludowej poezji i właściwości językowe tamtejszych Mazurów”. (E. Martuszeński — *49 listów z powodu braci czeskich*, Wydawnictwo Łódzkie, 1971, s.91.)

Wiem z domowej tradycji, z ust matki, że ojciec z wielką starannością przygotowywał się do wyprawy na Mazury. Opanował technikę zapisu i sporządził mapkę terenu. Obchodził następnie zagrody wiejskie, a czasem musiał i od wsi do wsi odbywać piesze wędrówki, gdy nie było wozu czy bryczki. Łatwo nawiązywał kontakty z miejscową ludnością, toteż nie skąpiono mu pieśni. Nie zawsze notował je siedząc na ławie w chacie wiejskiej, często wypadło pisać na stojąco w wozie. A że była to poezja śpiewana, należało nieraz prosić o powtórzenie poszczególnych wyrazów czy zwrotów, żeby się nie pomylić.

Po powrocie do Petersburga ojciec starannie przepisał zanotowane teksty, wciągając je do czterech jednakowych pod względem gatunku papieru i formatu, ale różnej grubości, zeszytów. W osobnej teczce znajdowała się mapka terenu, narysowana przez ojca, i nuty. Dwa zeszyty wraz z teczką spłonęły w mieszkaniu mego brata. Ocalały dwa, które zostały wypożyczone. Pierwotna objętość zbioru wskazywałaby na słuszność informacji, jaką w liście do Karola Żółkiewskiego, ówczesnego słuchacza uniwersytetu we Lwowie, przekazał badacz pieśni

i zwyczajów ludowych, pochodzący z Mazur, Jan Karol Sembrzycki:

„W tym lecie były u mnie częste odwiedziny: (...) potem p. Gąsiorowski, bibliotekarz Akademii Umiejętności w Petersburgu, zacny człowiek, o którym pewnie p. Kę(trzyński) Tobie powiedział. Zebrał na Mazurach przeszło dwieście pieśni itd. Ja mu pomogłem, ile można. Ojciec mój dał mu wszystkie swe pieśni z nutami.“(E. Martuszewski, — 49 listów..., s.92).

Wyprawa na Mazury po pieśni nie skończyła się na ich zebraniu wraz z zapisem melodii. W roku 1884 ojciec mój był świadkiem i uczestnikiem powstania „Gazety Olsztyńskiej”. Narodziny tego regionalnego pisma powitał serdecznie i odtąd żywo go przejmował los „Gazety”.

Ojciec prowadził przez szereg lat korespondencję z prof. Janem Baudouinem de Courtenay'em, który zamierzał przekazać listy ojca jako depozyt do muzeum, gdyż zawierały rzeczy nowe i odkrywcze. Listy te niestety przypadły w czasie powstania w Warszawie.

Żona wielkiego językoznawcy, z domu Bagnicka, wiedziała o miłości mego ojca do Ziemi Mazurskiej, zwłaszcza że jej brat, Dariusz, tę miłość z nim dzielił. Gdy po upływie wielu lat Ewelina Baudouin de Courtenay-Malachowska przystąpiła do wydawania pamiętnika swej matki, znalazła w nim i przekazała mi w liście następującą notatkę:

10 „17 marca 1919. Tak często myślę o biednym Darku (Dariusz Bagnicki, brat mojej matki -E.M.), że nie doczekał realizacji tego, co go najwięcej obchodziło. Nie mając nadziei na Gdańsk — trzeba pamiętać, że umarł w r. 1910 — marzył o Braniewie, razem z J. Gąsiorowskim popularyzował, podtrzymywał ową „Gazetę Olsztyńską” — teraz iść się to, co się niepodobieństwem wydawało”. (List z dnia 13 października 1965 roku.)

Wyprawa na Mazury po pieśni i związanie się z „Gazetą Olsztyńską” oddziaływały silnie na życie osobiste ojca. W r. 1889, w jednym z domów polskich w Petersburgu, w obecności znawców i miłośników pieśni ludowych, ojciec mój, myśląc o druku swego „Śpiewnika”, wygłosił prelekcję na temat Mazur. Rozpięto mapę, którą ojciec fachowo wykonał, i wysłuchano w skupieniu relacji o wędrownkach po wsiach mazurskich, o poezji śpiewanej, a także o działaczach, wydających „Gazetę Olsztyńską”, która zasłużyła na gorące poparcie. Mówca pozyskał nowych zwolenników „Gazety”, ten i ów zgłosił gotowość pomocy pieniężnej, ale na druk „Śpiewnika” czas jeszcze nie nadszedł.

Wśród słuchaczy prelekcji znalazła się młoda warszawianka, Władysława Holc, przybyła niedawno do Petersburga, do wujostwa, wymagających opieki w chorobie. Skończyła pensję p. Krzywobłockiej w Warszawie, była uczennicą Tadeusza

Korzona i Piotra Chmielowskiego. Notatki z ich wykładów przywiozła ze sobą na życzenie wujenki. Miała w sobie wiele zapału i energii. Zainteresowała ją strona muzyczna pieśni. Rozpoznała w jednej z nich *Maliny Chodźki* i stwierdziła, że odbyły one długą wędrownkę w gwarze mazurskiej, przyjmując odmienny kształt językowy.

Po paru miesiącach znajomości nastąpiły zaręczyny i wkrótce ślub w miejscowym kościele ewangelickim — dla niego swojskim, dla niej, jako dla katoliczki, obcym i zimnym. Słyszałam nieraz z ust matki, że z trudem zgodziła się na zawarcie małżeństwa o jednostronnej ważności. Ewangelicka wspólnota wyznaniowa w rodzinie ojca wzięła górę. Łącznikiem ideologicznym pozostała sprawa polska. W r. 1885, kiedy powstała na Śląsku Macierz Szkolna dla Księstwa Cieszyńskiego, utrzymująca polskie gimnazjum w Cieszynie, ojciec stał się jej członkiem wspierającym. Przez piętnaście z górą lat wpłacał regularnie składki, kiedy zaś był już bliski zgonu, prosił matkę, żeby obowiązek ten po nim przejęła. Śląsk był drogi ojcu i dlatego, że stamtąd wyszła jego rodzina.

W 1895 roku nastąpiło służbowe przeniesienie ojca z Petersburga do Czelabińska, małego wówczas miasta na pograniczu europejskiej i azjatyckiej Rosji, na stanowisko kontrolera przy budowie kolei transsyberyjskiej. Przyjaciele uważali taki obrót rzeczy za szczęśliwe wyjście z sytuacji, jaka się wytworzyła w ciągu ostatnich paru lat. W domu mówiło się o tym ogólnikowo. Po latach powiedział mi przyjaciel ojca z czasów petersburskich, Jan Żarnowski, który był po pierwszej wojnie światowej prezesem Najwyższej Izby Kontroli Państwa, że były na ojca donosy, a w nich słowo „socjalizm” często się powtarzało. W tych warunkach należało się decydować na przyjęcie zatrudnienia, gdzie je dawano, żeby uniknąć procesu. Pobyt w Czelabińsku trwał trzy lata. Ojciec opiekował się tu ludnością polską zamieszkującą okolice miasta. Tymczasem przyjaciele ojca nie ustawali w staraniach, by uzyskać przeniesienie służbowe w bliższe strony. Kiedy powstała możliwość pracy w Rydze, ojciec z tej okazji skorzystał. Z Rygi wysyłał potem najczęściej wspomnianych już listów na tematy językoznawcze do prof. Baudouina de Courtenay'a. Stąd posyłał też artykuły do petersburskiego „Kraju”.

Dla nas, dzieci, ważnym wydarzeniem w domu rodzinnym było kupno fortepianu. Zaczęła się nauka gry. Ale w pamięci zostały przede wszystkim piosenki, nucone przez nas przy akompaniamencie matki z różnych śpiewników, przeważnie pochodzących z Krakowa.

Kiedy skończyłam siedem lat, ojciec zapoznał mnie ze swoim mazurskim zbiorzem. Miałam już za sobą prawie dwuletnią naukę domową i osobliwe doświadczenie językowe, zdobyte na wybrzeżu ryskim w okresach letnich. W zbiorowych zaba-

wach na nadmorskiej plaży, przy łodziach rybackich, mieszały się słowa łotewskie z niemieckimi i rosyjskimi, włączały się do nich nasze, polskie. Powstawał jakiś język umowny, zrozumiały jedynie dla stałych uczestników zabaw. Pierwszeństwo miały wyrazy krótkie. Po dwóch miesiącach porozumiewaliśmy się ze sobą bez trudności, nawet w sprawach zawiłych czy odwołujących się do dyskrecji. Szeptał kiedyś w tym osobliwym języku maly Łotysz, że zamknięto łaźienki z ciepłą wodą morską, bo kąpał się w którejś wannie trędowaty, więc jest dezynfekcja, a policja tropi w całej okolicy, poszukując podejrzanych o trąd. Chłopiec bał się, żeby nie uznano za trędowatego jego psa, bo miał podejrzane liszaje. Radził się, gdzie go najlepiej ukryć.

Ojciec interesował się tą nadbrzeżną mieszaniną językową i chcąc nie chcąc wprowadzał nas w wiedzę o języku. Umiąłem już na pamięć *Maliny Chodźki*, kiedy pokazał mi mapkę Mazur i Warmii, a na niej wieś, z której pochodziła pierwsza pieśń zbioru. Dał mi następnie do ręki zeszyt i kazał głośno tę pieśń przeczytać. Szło mi to czytanie z trudem. Wydawało mi się, że język jest przekreślony, chociaż inaczej niż nasz, nadmorski. Wtedy ojciec sam głośno odczytał całość, a potem objaśnił, czym jest gwara. Dowiedziałam się wówczas, że gwar jest wiele, że zachowały się w nich najstarsze polskie wyrazy i wyrażenia. Była to lekcja na wyrost, ale bardzo podniecająca. Zapragnęłam nauczyć się po mazursku, prosiłam, żeby mi ojciec w tym dopomógł, zanim tam razem kiedyś pojedziemy. Ale nie pojechaliliśmy już nigdzie razem, bo ojciec wkrótce zachorował i na trzeci dzień po bardzo ciężkiej operacji zmarł dnia 30 lipca 1901 roku.

Matka starannie przechowywała zeszyty z pieśniami. Ocalała z nich mniejsza część. Jest to dokument z historii języka ludowego i jego poezji śpiewanej. „Śpiewnik” wiąże się w czasie z narodzinami zasłużonej w służbie polskości „Gazety Olsztyńskiej”.

